NUMER 3. DNIA 19-go STYCZNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Pod Horodłem.

Kto pierwszy ruszył w ludzie ducha — nie wiem.
Sam może buchnął z piersi. Czas był taki,
Że serca stały pod jasnem zarzewiem
Gwiazd betleemskich, że miały swe znaki
I zmowy z niebem — tajemne, ogromne...
— Czas cudów, co go nigdy nie zapomnę!

Cichość pól była na przestrzał dzwoniąca
Szeptem aniołów, co szły z zwiastowaniem
Dni wielkich. A noc, chociaż bez miesiąca,
Tak pełna świtów, że myślim: „Już wstaniem!“
Ze snu się zrywał lud, i słuchał w ciszy,
Pewny, że słyszał hasło... że je słyszy...

A ziemia drżała. Już sobą ruszyły
Pagóry, aby iść i stanąć wałem
Pod hufcem polnych traw. Już na mogiły
Lirniki wyszły z licem poczerniałem,
Gdy nagle buchnął głos, jak Polska długa
I jak szeroka: „Bug! Nad Bug! Do Buga!“

Więc nie tak wartko Wisła rwie o wiośnie,
Gdy w nią swe śniegi z hukiem puszczą Tatry,
I nie tak pożar skroś traw suchych rośnie,
I nie tak leci ptak, i nie tak — wiatry,
Jak ten się rzucił głos, który miał loty
Ptaka, i wiatru, i wód, i żar złoty

Żywych płomieni. Zajęły się duchy,
Jak iskry, kiedy w tajnym padłszy lochu,
Pełgną i gorą, nim cisną w wybuchy
Zduszony ziemi dech i piorun prochu.
A choć nie było wodza, ani godła,
Wiedzieli wszyscy hasło: „Do Horodła!“

Może borowe szumy je rozniosły,
Może jęczące, żórawiane głosy...
W domu niewoli różne służą posły,
Od huku burzy, aż do szeptu rosy.
Z sioła do sioła, i z miasta do miasta
Lecą ogniste wici, jak za Piasta.

Po dworach — hasło zjawiało się w błysku
Starej, rycerskiej krwi, starej zbroicy.
A już pod siodło koń rżał na pastwisku,
Już kord ze ściany szczękał ku prawicy,
Już cichem światłem mżył ryngraf z nad łoża,
A w piersiach grała hejnał jasna zorza.

Lecz w miastach gorzał duch męczeński w ludzie,
Duch rzymskich aren, duch już zaświatowy;
Wszyscy tam żyli w śnie jakby i w cudzie,
I zadumane śmiercią mieli głowy,
I wyciągnięte do krzyża ramiona,
A twarze mieli, — jak za dni Nerona.

Nigdy i nigdzie nie było na ziemi,
Od dni tych, takich twarzy, co są blade,
A gorejące, z oczyma jasnemi
Od wizji, w których własną swą zagładę
Widzą, na wielkim ołtarzu objaty. —
Twarze, co mówią: „Czyńcie prędzej, katy!“

Więc gdy się hasło przez miasta rzuciło,
Cisza się stała nagła, rozszeptana...
Tylko spiż w dzwonach z ogromną bił siłą,
Tylko się częściej mignęła sukmana
Chłopska w ulicy, a miejskie czamary,
Krzyżem się stały, jak pomost, u Fary.

Aż przyszła chwila...

* * *

Lud szedł... Równina była falista, szeroka,
W coraz to wyższe pagóry sadzona.
W głębi Horodło — już widne dla oka.
Po obu stronach rozciągał ramiona
Bór siwiejący. Za piechotą stała
Na stoku wzgórza artylerja, działa.

Lud szedł... Zdaleka znać było Chruszczewa,
Tak mundur na nim złocił się i czako.
A już się zaczął przed ostatnie drzewa
Tabor dobywać z boru. Zaczem, jako
Rzeka rozlewa w wiosennej topieli,
Tak rozlał: Lud szedł. Wtem głos: „Stać!“ —
Stanęli. —

Nie było wodza, ale były moce
Wiodące. Każdy czuł je, każdy słuchał.
I czy zaszeptał, jak wiatr w ciche noce,
Głos taki, czy też — jak piorun — wybuchał,
Wiedział lud, że to duch po nad nim stoi,
Duch-wódz i hetman jego, w jasnej zbroi.

Teraz tym wodzem był nam paroch lichy —
Unicki; starzec w wytartej odzieży.
Ten rzekł: „Nie z zemsty idziem tu, nie z pychy,
Nie naszą rzeczą oręż! Ten należy
Bogu. Kto ma broń, niechaj ją natychmiast złoży.
Tutaj — nie bitwa będzie — tu sąd boży!

Bezbronni, w niebo wzniesiemy ramiona,
I tak iść będziem. Śmierć nas nie przestrasza.
Ta sprawa duchem będzie obroniona,
Nie błyskiem lufy, nie ostrzem pałasza,
Tu męczenników siła, nie atletów...
A teraz, bracia! — Na długość bagnetów!...“

Rzekł, wzniósł ramiona, rozkrzyżował ręce,
Zapamiętany w sobie i olśnięty,
I w modrą jasność, czarnej bożej męce
Podobny, zaczął iść ten prostak święty...
A hasło w tłum już wpadło, jak rakieta,
Okrzykiem lecąc: „Na długość bagneta!“

Bory odbiły okrzyk. A w tej chwili
Rąk się podniosła na powietrze chmura —
Od drobnych, jasnych, co jak rój motyli
Wzleciały, do tych, co jako wichura
Mroczna się wzbiły — od młota, od kosy,
Chmura rąk drżących, rozwartych w niebiosy

Bezbronnie, strasznych bezbronnością! Krokiem
Cofnął się Chruszczew. — Widziałem. — Słoneczne
Skry drgnęły w szlifach jego, przed obłokiem
Tych rąk, co miały moce ostateczne,
Moce śmiertelne w sobie. Mogły zwalic
Strop nieba. Mogły powietrze zapalić!

Przez chwilę cisza była. Tak ptak wzbity,
Zawściąga loty nieruchomo. Nagle
Z tysiąca piersi uderzył w błękity
Hymn, znany, stary... Lud ruszył. Jak żagle,
Gdy wiatr pod siebie chwycą, na nic wiosła,
Tak sama pieśń ta powietrzem nas niosła.

A wtem zagrały bębny. Jak wąż złoty,
Mieniąc się łuską karabinów, sztyków,
Ruszyły ku nam szeregi piechoty:
— Na hufiec duchów — hufiec niewolników!
Lud szedł... Piechoty linja się wstrzymała
Na strzał armatni. Zatoczono działa

Przed front. Błysnęły pod słońce lawety
Odprzodkowane. Spojrzałem po tłumie. —
Szedł... Żeby starce chociaż... choć kobiety...
— Nikt! W głosów wichrze i w chorągwi szumie
Szli z wzniesionemi ramiony. Przed frontem,
Przy każdem dziale, z zapalonym lontem,

Stanął kanonjer. Lud szedł... Jeszcze chwila,
A jakiś złoty piorun tu uderzy!
Bo się tu jakaś moc straszna przesila,
Bo tu na sądnej stoimy rubieży,
Zkąd niema drogi! I głos tu ostatni
Musi mieć — boży grom, lub — grom armatni!

Wtem Chruszczew z sztabem i z dońcami, konno
Przyleciał. Stanął, odkrył głowę. — „Rady
Boga, gaspada! Choć wy nieobronno,
U mnie jest rozkaz! Tu nie od parady
Puszki! Jejbohu, ja wydam komendę!
Jejbohu, tu nie szutki! Strzelać będę!“

A na to z tłumu krzyk: „Nie rozumiemy
Nic po moskiewsku!“ — Chruszczew zsiniał cały,
Jakby się dusił, i chwilę stał niemy,
A wytrzeszczone oczy na łbie drgały...
Aż dmuchnął w wąsy, na sztab skinął, zaczem
Słał adjutanta, by mu był tłumaczem.

Podjechał młody oficer, nerwowo
Targając uzdę. Blady był, drżał cały.
Zaledwie jednak pierwsze przerzekł słowo,

Kiedy tysiączne głosy się zerwały
Burzą: „Pójdźmy na długość bagneta!“
Wtem krzyk: „Syn!... Michaś!...“ Wybiegła kobieta

Z tłumu, i oba rozwarłszy ramiona,
Z krzykiem, w łzach cała, niewidząca świata,
Leciała prosto, jak wiatrem niesiona,
I jak ptak, kiedy na gniazdo dolata,
Wołając: „Synu!“, leciała do niego...
A wtedy — stało się coś okropnego...

Oficer krzyknął: „Matka!“ Chwycił czoło
Oburącz, oczy wielkie, nieprzytomne,
Okręcił niebem błękitnem wokoło —
— Nigdy tych oczu jego nie zapomnę! —
Za pistolety, błysk, huk, w pierś wypalił,
I przez łeb konia, do nóg jej się zwalił.

Chwycono matkę... Zerwano pęk sznuru,
Który mu jeszcze drgał u akselbanta,
Ściągnięto z ramion rękawy munduru
I precz! — I nie ma tu już adjutanta
Sztabu! I żadnym nie zhańbiony znakiem
Moskiewskim, trup ten — znowu jest Polakiem!

Lecz krew ta sądne przechyliła szale.
W tej chwili prawie wstąpił tłum na wzgórze:
— Bug! Ksiądz Bojarski krzyknął: „Jenerale!
Oszczędzim tobie kul! Oto Zabuże
Przed nami! Oto Horodło nas wita!
— Tu będzie Kościół, i Rzeczpospolita!

Tu stwierdzim Unję przed światem!“ — A była
Znaczna wyżyna, pod ścierniem stojąca,
Pośrodkiem kurhan stary, czy mogiła,
Cała zalana teraz blaskiem słońca,
W dole — Bug siny. — Oba brzegi Buga
Widne daleko, hen, — do Uściługa!

(Dok. nast.) Piotr Surma.

Ważne dzieło o powstaniu pod względem militarnym*).

Przemilczona w naszem piśmiennictwie książka jenerała i naczelnika sztabu warszawskiego Puzyrewskiego pt.: „Wojenne działania w Królestwie polskiem w r. 1863“ jest bezwarunkowo jednem z lepszych ź r ó d e ł, jeśli nie najlepszem, do dziejów ostatniego powstania, przynajmniej co do części wojennej. Generał Puzyrewski jest bardzo dobrze znany jako krytyk wojenny i jego dzieło o wojnie 1831 roku jest znakomitym przyczynkiem do dziejów naszych, pod wieloma względami daleko dla nas pożyteczniejszym niż Historja Mierosławskiego, Sołtyka i innych. Kiedy chwalimy dzieło moskala, jawnego naszego przeciwnika, działającego teraz jeszcze na naszą zgubę, chcemy, żeby nas dobrze zrozumiano. Nie masz wątpienia, że dla cudzoziemca, nieobeznanego z naszymi stosunkami, jestto dzieło szkodliwe, bo przedstawia w przewrotnem świetle mnóstwo rzeczy, które nam Polakom są tak doskonale znane, że żadne przekręcania i oszczerstwa nas zwichnąć nie mogą. Francuzowi więc nie można rekomendować *Jewo Prjewoschoditjelstwa* dla obznajmienia się z kwestją polską.

Ale w porównaniu z większą częścią naszych polskich pamiętników o r. 1863, z takiemi n. p. fantazjami, jak pamiętniki Jeziorańskiego, albo takiemi paszkwilami, jak piśmidła Koźmiana, Przyborowskiego, dzieło tego jawnego naszego wroga przynosi nam korzyść nieocenioną, bo jest przepełnione faktami i to faktami bardzo pouczającymi; trzeba tylko wziąć szczotkę, oczyścić tę wiązkę faktów z werniksu moskiewskiego, i będziemy mieli bardzo cenny materjał, nie tylko dla przeszłych, ale i dla przyszłych naszych powstań-

*) Wojennyja djejstwija w carstwie polskom w 1863 godu, gienierał-lejtnanta Puzyrewskawo. — Warszawa 1894.

czych usiłowań. Opracowanie pierwszej części, jedynej, którą mamy pod ręką, i która obejmuje wojnę 1863 roku tylko do kwietnia, jest nadzwyczaj staranne, chociaż jest w niem — ma się rozumieć, — wiele braków, osobliwie co do powstania w Łomżyńskiem i Augustowskiem. Mamy mapę polską, urzędową, Królestwa z owych czasów, całą dyslokację wojsk moskiewskich, których, nawiasem mówiąc, było już w Królestwie w chwili wybuchu do 100.000, i których spis szczegółowy podaje Puzyrewski; mamy około 40 planów potyczek, objaśniających doskonale ruchy oddziałów naszych i moskiewskich, a których braki, pochodzące z kłamstw urzędowych, bardzo łatwo poprawić można; mamy nareszcie sumienny, i jak na moskala, wcale bezstronny ogólny pogląd na powstanie, na który to pogląd zwrócimy najbardziej uwagę czytelnika. Puzyrewski cytuje wszędzie najbardziej cenne, pod względem taktycznym, polskie źródła, n. p. Bentkowskiego, Edmunda Calliera, przedrukował nawet kilka ich własnych planów, i oddaje im wszędzie należytą sprawiedliwość. Najzabawniejszym dowodem bezstronności jenerała są ustępy, w których się tłumaczy z przytaczania kolosalnych kłamstw, zawartych w moskiewskich urzędowych raportach; czuć wstyd, że poważny pisarz musi powtarzać takie brednie, i złość, że nie wolno mu ich sprostować, że nie wolno mu zrobić z jedynego zabitego kozaka, przynajmniej kilkudziesięciu: ale cóż robić, tak było wydrukowano podług rozkazu Jego i t. d. Wielkiego Księcia Konstantego, i trzeba to zacytować, chociaż Puzyrewski czuje, że tem się jego dzieło fatalnie kompromituje. Nie chce on nas wcale oszczędzić, ale idzie mu o własną skórę, o własną reputację, jako wojennego pisarza. Bądź co bądź, nie możemy zrozumieć, dla czego taki ważny materjał został dotychczas zupełnie przez naszych pisarzy pominięty.

Najciekawszą częścią książki Puzyrewskiego jest jego pogląd, pogląd taktyka i wodza, na owe szaleństwo, na owe nieszczęście narodowe, na ową klęskę, na owe, podług naszych stańczyków, umyślnie przygotowane i przeprowadzone przez moskali, na szkodę i hańbę narodu polskiego, powstanie 1863 roku. Pan jenerał, jako szanujący się pisarz i sumienny sprawozdawca, musi przyznać, że pomimo takiej ogromnej przewagi sił ze strony moskiewskiej, o której zresztą Komitet styczniowy, skutkiem niedbalstwa i prywaty niektórych członków, nie miał wcale pojęcia, rząd carski został zaskoczony znienacka, czem tłumaczy on nieprawdopodobne wcale udanie się styczniowego wybuchu; musi opisywać straszną panikę wojsk moskiewskich, które, mając armaty i sztucery przeciw kijom i kosom, musiały się dopiero skoncentrować na łeb na szyję, ażeby nie być zupełnie zniszczonemi, i takim sposobem ułatwiły formowanie się początkowych oddziałów, osobliwie Langiewicza. Musi opowiadać, że „tam, gdzie powstańcy mieli strzelby nasze (moskiewskie) straty były bardzo znaczne“, i że „nasze (moskiewskie) usiłowania, ku zupełnemu rozbiciu tych niesfornych band, rzadko doprowadzały do pożądanego skutku“; że ze strony moskiewskiej popełniono kolosalne błędy, a z polskiej, w tak opłakanych warunkach, w zimowej kampanji, popełniono także mnóstwo niedorzeczności, ale wykazano niesłychaną energię i wiele wojennej zdolności. To stosuje się głównie do ludzi zupełnie nieświadomych wojennego rzemiosła, jak Mielęcki i inni, — bo oficerów, jak Podlewskiego i Langiewicza, pan jenerał osądza dosyć ostro, zbyt nawet potępia, aż do szkalowania, co się tłumaczy, przynajmniej co do Podlewskiego, niechęcią dla zbiega ze służby carskiej. Pan Puzyrewski znajduje się więc w bardzo przykrem położeniu; jak ma wytłumaczyć taktyk i strategik ten upokarzający fakt, że kiedy było w Królestwie do 100.000 dobrze uzbrojonego i wyćwiczonego wojska moskiewskiego, słynnego na świecie z bitności, a w niem, podług spisu, kilkanaście tysięcy samej gwardji — kijo-i-kosobrojni powstańcy, „których nie było nigdy więcej nad 25 do 30.000“, potrafili przez kilkanaście miesięcy zaszachować całą carską potęgą, i (czego Puzyrewski nie mówi, a co się jednak stało) obezwładnić na kilkanaście lat owego kolosa północnego, ową wszechwładną Rosję? Czem wytłumaczyć, że pomimo okropnych warunków zimowej walki, które Puzyrewski szczegółowo wylicza jako „bardzo ułatwiające zadanie rządu“, powstanie do wiosny tak się rozwielmożniło, kpiąc sobie z całej carskiej potęgi? Niema rady; pan jenerał musi przyznać, że oprócz materjalnych warunków, są jeszcze inne, moralne, duchowe, i jako człek sumienny, dla użytku własnego rządu, kładzie szczególny nacisk na propagandę, na zapał, których, — mówi, — samo wojsko zniszczyć nie może. Cały świat o tem wiedział od lat tysięcy, na tem zbudowana jest historja od niepa-

miętnych czasów; cieszy nas przecie to, że na zasadzie taktyki i strategji dochodzi się do tego samego przekonania.

,,To też — mówi Puzyrewski — głównym naszym wrogiem była idea możliwości zbrojnego powstania, którąś my powinni byli zniweczyć“. O ile się teraz najświetniejszemu rządowi carskiemu udało dojść do tego rezultatu, przy pomocy Tarnowskich, Koźmianów, Pilców i Przyborowskich, tego pan jenerał nie mówi, ale przyznaje, jako fakt niewątpliwy, że dopóki taka i d e a istnieje, żadne wojska nie pomogą, i *wojennyja djejstwij*a zawsze będą szwankowały. „Strategja odgrywa swoją zwyczajną rolę, ale wymogów jej nie można obliczyć tam, gdzie główny zapas energji przeciwnika nie wyraża się materjalnie, lecz istnieje w świecie duchowym, w roznamiętnieniu umysłów i w wybrykach rozpalonej wyobraźni“.

Taki jest strategiczny wywód naczelnika sztabu wojsk moskiewskich w Królestwie: skoro ludzie wmówią w siebie, że chcą i mogą być wolnymi, to i armaty i fortece i bataljony i „sam czort“ nie pomoże.

Dziękujemy najserdeczniej za wywód taki. Niewiadomo czy on trafi do przekonania zaborczych rządów, zbyt ufających w swoje wojska i cytadele, pomimo uwagi mądrego żydka, wygłoszonej jeszcze za Mikołaja I.: „No! a co będzie, jeźli się cytadela zbuntuje?“ Wiemy, że niejednokrotnie próbowano się stosować do rady Puzyrewskiego, i dla tego powymyślano rozmaite ugody, prace organiczne, łaski monarsze i t. p. dla zabicia tej nieszczęśliwej i d e i; o ile się to udało, osądzi historja. Ale wiemy także, że taka prosta, chłopska idea, idea kierująca ludźmi 1863 roku, nigdy w człowieku nie zniknie, dopóki on będzie człowiekiem; bo trzeba być koniecznie szalonym, idjotą albo bydlęciem, by nie zrozumieć, że lepiej przecie bić się i ginąć *dla siebie*, dla *swoich*, niż dla cudzych, dla wroga, przeciw sobie i swoim. Nie mamy jednak nadziei, ażeby taka prosta i prostacza idea rozpowszechniła się między stronnikami ugody, przeciwnikami wszelkiego powstania, czy moralnego, czy materjalnego; boć przecie podług ich koranu, lepiej być sytą i brykającą świnią, niż głodnym i przygnębionym człowiekiem. Taką myśl wypowiedziano już bardzo dawno temu, kilka tysięcy lat przed panem S. Tarnowskim, a przed trzystu laty z górą sformułował ją bardzo dosadnie jeden z ojców sceptycyzmu, oportunizmu i ugody *à tout prix*, ksiądz Franciszek Rabelais, przodek w prostej linji Woltera i innych lojalnych działaczy. I gdyby ta idea zapanowała w całym narodzie, jenerał-lejtnant Puzyrewski nie potrzebował by już pisać dzieł o bezskuteczności „wojennych djejstwij“ przeciw polskim miatieżnikom.

Bronisław Szwarce.

Langiewicz o dyktaturze i swoim stosunku do fakcji arystokratycznej.

(Nieogłoszona korespondencja J. N. Janowskiego z jenerałem Langiewiczem *).

Szanowny Jenerale!

Dzięki jednemu z moich przyjaciół politycznych przyszedłem — przeszło dwa lata temu — do posiadania w odpisie listu Jenerała z dnia 9. czerwca 1863 r. do ówczesnego tajnego Rządu narodowego. Przyjaciel mój zaręczył mi za wierność odpisu i autentyczność samego listu. List ten zaczyna się w tych słowach: „Do Rządu narodowego. Pisma Rządu N. z d. 1. maja r. b., wydane pod nr. 679 i 681, odebrałem dnia 3. czerwca r. b.“ a kończy się słowami: „Tym sposobem bez zewnętrznej pomocy najdalej z początkiem zimy powstanie musi upaść militarnie, politycznie i administracyjnie“ **). Aby nie pogorszać

*) Z rękopisów Bibljoteki Jagiellońskiej.

**) Wypuszczony tu wyjątek z listu Langiewicza opiewa jak następuje:

„Nigdy mi nie przyszło na myśl sięgać po najwyższą władzę. Jak wszędzie tak i w Goszczy zajęty wyłącznie

ówczesnego położenia Jenerała, nie zrobiłem zaraz publicznego użytku z tego listu, pisanego potajemnie z więzienia austrjackiego w Jozefsztadzie. Dla poparcia tylko zdań moich o kierunku powstania umieściłem z niego w następnym roku 1864, wyjątek w broszurze: „Moja korespondencja z ks. Wład. Czartoryskim“, której posłałem Jenerałowi jeden egzemplarz do Gessen, jak tylko stanąłeś na wolnej ziemi Tella.

Należało się spodziewać, a przynajmniej ja tak sądziłem, że jak tylko Jenerał zostaniesz uwolniony z więzienia, nie omieszkasz ogłosić jakichś pamiętników, lub przynajmniej jakiejś deklaracji, w której byś się wyparł wszelkiego wspólnictwa z fakcją arystokratyczną, co powstanie przywiodła do upadku. Ponieważ zaś Jenerał milczysz z wielką szkodą dla historji powstania, tak potrzebnej obecnemu i przyszłym pokoleniom, które nawet z klęsk powinny czerpać naukę na przyszłość, a zarazem milczysz — muszę dodać — i ze szkodą dla dobrej sławy swego imienia, postanowiłem w drugiem wydaniu, wspomnianej wyżej, mojej broszury umieścić list Jenerała w całej osnowie. Uprzedzam Jenerała o tem i proszę, jeżeli to być może, o udzielenie mi w sprawie dyktatury dokładniejszych objaśnień. W przeciwnym razie będę musiał poprzestać na dołączeniu kilku uwag, jakie uznam za stosowne. Drugie wydanie mojej broszury nastąpi najdalej za miesiąc.

Z należnem poważaniem
Jan Nepomucen Janowski.

13. marca 1866 r.
(minuta listu)

Szanowny Panie!

List datowany: Paryż dnia 14. marca 1866 odebrałem wieczorem d. 20. b. m. Broszurę: „Moja korespondencja z ks. Wład. Czartoryskim“ otrzymałem był, nie wiedząc przez kogo przesłaną była. Dlatego dopiero dzisiaj proszę Pana przyjąć moje za nią podziękowanie.

Wyjątek z mego listu pisanego do Rządu Narodowego d. 9. czerwca 1863. nie jest całkiem zgodny z oryginałem. I tak z tekstu mego: „jak cała moja służba krajowa była tylko obowiązkiem, tak przyjęcie dyktatury było z mej strony ofiarą“, w broszurze wypuszczone są wyrazy „była tylko obowiązkiem.“

Od czasu uwolnienia mego bardzo często byłem wzywany do ogłoszenia mych wiadomości o ostatniem powstaniu, tak w interesie publicznym, jak i moim osobistym. Odpowiadałem, że pora nie zdaje mi się być jeszcze stosowną, albowiem po tak silnych wstrząśnieniach część publiczności jest zupełnie apatyczną, inna część zbyt jeszcze namiętną, iżby mogła spokojnie sądzić; zamiast pożytku dodałoby się tylko więcej materjału dla gorączkowego jeszcze sporu. Skoro znów nadejdzie czas sumiennej rozwagi i organicznej pracy, a ostatnie powstanie ze szkodą dla sprawy publicznej mylnie będzie przedstawionem, wtedy — mniemałem — trzeba będzie przerwać milczenie.

Do tych pobudek przyłączyły się jeszcze względy całkiem osobiste. Wszystkie bowiem publikacje polityczne i militarne, pojawiające się jeszcze za życia autora, który działał w wypadkach przez siebie opisywanych lub rozbieranych, zwykle mają na celu widoki osobiste: tłumaczyć się, usprawiedliwiać się, sławić się, ażeby odzyskać stracone stanowisko lub posiadane wzmacniać i podnosić, otóż wedle ogólnego mniemania zwykły cel podobnych publikacyj przedśmiertnych. Ja

---

byłem uzbrojeniem, ubieraniem i wyżywieniem obozu i rozszerzaniem powstania narodowego. W tem nagle przybyły do mego obozu osoby, z któremi nigdy nie miałem stosunków, które miały dobrą w kraju reputację i inne, o których przynajmniej nic złego nie wiedziałem. Te osoby przedstawiły mi wiele powodów, dla których uważały objęcie przezemnie dyktatury, jako koniecznie potrzebne i przez cały kraj upragnione i z wolą Komitetu centralnego zgodne. Podczas mego życia obozowego nie mogłem zebrać wiadomości potrzebnych do ocenienia trafności owych przedstawień. Pomiędzy innemi przedstawiono konieczność usunięcia bardzo szkodliwych wichrzeń fakcyj krakowskich, a mianowicie Mierosławskiego, i potrzebę nadania Rządowi narodowemu firmy widomej. Tym dwom względom nie mogłem odmówić trafności. Oświadczyłem jednak, iż ani nie chcę przyjąć dyktatury, ani się też nie czuję zdolnym do tej władzy. Kilkakrotnym naleganiom uległem, ale równocześnie czułem i widziałem, że jak cała moja służba krajowa, tak przyjęcie dyktatury było z mej strony ofiarą. Wiedziałem bowiem i publicznie to wypowiedziałem, że Moskwa także siły zgromadzi, tak często będzie obóz dyktatorjalny atakować, iż go musi zniszczyć. Wiedziałem, że mój tak zaprawny w boju hufiec, tak mozolnie zebrany i utrzymywany, tak zbratany ze mną biedą i bojami, prowadzę na niezawodną zagładę i że moją wojskową reputację skompromituję, bo czemże jest dowódzca, który stracił swe wojsko? Ofiarowałem siebie i towarzyszów, ażeby całemu powstaniu przyjść w pomoc“...

zaś pragnę unikać nawet pozoru ambitnych dążności.

Podczas gdy z kraju i z emigracji dochodzą mię wezwania, ażebym ukrywał moje stosunki z rewolucjonistami, jeżeli ich już zaniechać nie chcę, gdyż inaczej utracę wszelką podstawę w kraju, Pan piszesz, iż sądziłeś, że nie omieszkam — skoro zostanę uwolniony z więzienia — ogłosić przynajmniej jakiejś deklaracji, w której bym się „wyparł wszelkiego wspólnictwa z fakcją arystokratyczną“. Zdaje mi się, że jeżeli moja publiczna czynność (np. odezwa do szlachty sandomierskiej, datowana z obozu pod św. Krzyżem, odezwa do Galicjan, datowana z Piaskowej Skały, odprawy moje dawane tak deputacjom szlacheckim jak i pojedynczym szlachcicom, całe moje ośmio tygodniowe prawie fanatyczne działanie powstańcze) nie świadczy, że byłem djametralnie przeciwny celom i środkom fakcji arystokratycznej — to już żadna moja deklaracja nie może mieć wartości. Zresztą, jeżeli takie zdania będą powszechnie przyjętemi, to Langiewiczowi nie będzie już żadne stanowisko powierzonem; ale Langiewicz nigdy takowego nie pragnął, lecz do służby publicznej był powoływany i stawiał się do niej bezwarunkowo; i nadal znajdzie zawsze sposobność pełnienia swych powinności polskich, czy pod obcem czy pod swojem nazwiskiem, czy w Polsce, czy po za jej granicami, czy z pomocą publicznego zaufania, czy bez niej. — Nadto, jeżeli jest prawda, że jestem politycznie nieudolny, to nawet do czynności wojskowych wcale nie powinienem być przypuszczony, bo szczególniej w powstaniu osobisty wpływ polityczny rośnie w miarę powodzenia wojskowego.



Marian Langiewicz.

Postanowione milczenie przerwałem za naleganiem cudzoziemców, a szczególniej Mazziniego, który ze względu na gotujące się wypadki włoskie, przedstawił mi pożyteczność i potrzebę ogłoszenia już teraz niektórych moich listów, pisanych z Tyszniowiec w kwietniu 1863 roku do Lud. Bulewskiego. Nie oddają one dość wiernie mego tekstu, bo z polskiego są tłómaczone na francuskie, z francuskiego tłómaczy je Mazzini na włoskie. W „Unità italiana“ umieszczono już sześć owych listów, a dwa pierwsze znajdują się w 1. numerze „Ogniska“, ale dodać wypada, że wyda-

wnictwo „Ogniska“ może przez wzgląd na policję francuską, bez uprzedzenia mię, pozwoliło sobie zmienić ich treść, przeciwko czemu założyłem protest.

W tych listach znajduje się dosyć dużo szczegółów o dyktaturze. Jeżeli one Panu nie wystarczą, to na szczegółowe zapytanie chętnie udzielę dokładniejszych wiadomości, o ile takowe będę posiadał.

Z należnem poważaniem
Langiewicz.

Dnia 21. marca 1866.
(18 Marie Square, Paddington, London).



Obóz Langiewicza.

Bronisław Deskur.

Tobie — w hołdzie...

Odszedł przed kilku laty tam, gdzie niema pęt ani ucisku, — on, bojownik wolności, — ale wspomnienie o nim pozostało, gorące i żywe, w sercach wszystkich, którzy mieli zaszczyt i szczęście zbliżyć się do niego na krótką choćby chwilę...

Była to natura typowo polska: rycerska i tkliwa, zdolna do namiętnych uniesień a słodka — „coś ze lwa — i orła — i dziecka — i anioła!

I koleje życia śp. Deskura — typowe. Powtarzają się w nich niezmienne zwrotki czasów porozbiorowych: sprzysiężenie, — walka, — więzienie, — tułactwo...

Takie istnienia wyrastają jeno na naszej ziemi, żałobnej a krwawej, — na ziemi, co czarem miłości przykuwa serca swych dzieci, wlewa w nie moc trwania i ofiary...

Pierwszą szkołą obowiązków rycerskich i obywatelskich stały się dla Bronisława Deskura tradycje rodzinne. Dziad jego, Jan Deskur, należał do nielicznego grona wybranych, co protestowali przeciw drugiemu rozbiorowi Polski i nie położyli swoich podpisów pod traktatami. Radośne uczucie spełnionego obowiązku i zgliszcza dworu, spalonego przez mszczących się moskali, były bezpośrednim skutkiem tego oporu. Z dwóch braci Jana — jeden zginął na polu bitwy, drugi znalazł śmierć na okopach Pragi w strasznym dniu rzezi.

W powstaniu Kościuszkowskiem walczył obok rodzica i stryjów także ojciec Bronisława Deskura, jako 15-letni uczeń Szkoły kadetów i, ranny pod Wilnem, został wzięty do niewoli.

Czyny ojca i dziadków, — opowieści o fantastycznych, jak balada — i jak balada pięknych dziejach legjonów, w których walczyli dwaj jego stryjowie; bohaterstwo i sława wojenna roku 1831, w którego wypadkach znowu chlubny udział wzięli bracia stryjeczni, — oto treść wspomnień i rozmów jego otoczenia, — oto pierwsza karm dla żywej, młodocianej wyobraźni Bronisława.

A potem iskry, które drzemały we wrażliwej duszy młodzianka, jęła rozdmuchiwać rzeczywistość.

Nadszedł rok 1846...

Wicher dziejowy, który przebiegał wówczas ziemie rozdartej Polski w zaborze rosyjskim, najsilniej wstrząsnął Podlasiem, gniazdową ziemią Deskurów.

Dąbrowski, syn twórcy legjonów, naczelnik wojskowy powstania na prawym brzegu Wisły, miał tu energiczną pomoc w osobie Władysława Dzwonkowskiego, późniejszego szwagra Bronisława. Adjutantem zaś Dąbrowskiego był — o lat dwadzieścia starszy od brata — Andrzej Deskur.

Młode pacholę patrzyło więc zblizka na przygotowania do wielkiego dzieła oswobodzenia, — chwytało czujnem uchem „nocne rodaków rozmowy“, — widziało kosy błyszczące w rękach włościan, — brało w Przenajświętsze swego ducha po raz pierwszy nad ziemią naszą brzmiące hasło: „Przez Lud — dla Ludu!“

Ostatecznego jednak przeobrażenia dziecka w człowieka dokonał — ból — dokonała klęska...

Wyroki śmierci na spiskowców — a między tymi i na jego brata, — okrucieństwo moskali, skrzyp szubienic, żałoba i płacz — wskazały mu drogę, którą miał iść w przyszłości — drogę cierniową a górną.

„Straszne wypadki — pisze w pamiętnikach dla wnuków, książeczce prostej, szczerej, wzniosłej, jak prostem, szczerem, wzniosłem było serce tego, co ją pisał: — Straszne wypadki, w których bracia moi brali udział, wbiły się w pamięć moją młodzieńczą; pod ich wrażeniem odczułem całą potęgę miłości ojczyzny“...

Odczuł, — przysiągł jej służyć i przysięgę spełnił — spełniał ją całe życie.

* *
*

W końcu 1860 r. pierwsza manifestacja zgromadziła w rocznicę Listopada tłumy na Lesznie w Warszawie. — Po skończonych modłach, stara kobieta z ludu, co widziała zapewne własnemi oczyma dzieła Podchorążych i Czwartaków, zaczyna nucić drżącym głosem: „Przed twe ołtarze zanosim błaganie: Ojczyznę, Wolność racz nam wrócić, Panie!“

Rzuconą nutę porywają inne głosy.

Pieśń rośnie — olbrzymieje, bije w niebiosa kornem błaganiem: „Ojczyznę, Wolność racz nam wrócić, Panie!“

Budzi Warszawę, budzi kraj...

Naród pręży ramiona, wstrząsa łańcuchami: „Ojczyznę, Wolność, racz nam wrócić, Panie!“

* *
*

I na Podlasiu, klasycznej ziemi cierpień i buntu, wre robota...

Prowadzi ją Bronisław Deskur wspólnie z przyjacielem swoim, Teodorem Jasieńskim.

Młody — dwudziesto kilkoletni zaledwie, — pan rozległej włości, mąż uwielbianej kobiety, z którą do ostatniej chwili łączyło go uczucie, jak śmierć silne, — ojciec czworga drobnych dzieci, — rzuca się w wir „niebezpiecznej“ roboty, oddaje jej nie połowę — ale całą duszę.



Bronisław Deskur
(według fotografji z roku 1894.)

Mianowany przez Komitet tajny podwojewódzkim, czyli naczelnikiem północnej części województwa podlaskiego, wciągnął wkrótce do organizacji tłum osób różnego stanu i powołania — miał 8 tysięcy sprzysiężonych.

— Ośm tysięcy i ani jednego zdrajcy! — powtarzał często z gorącemi błyskami zapału w oczach.

Dla porozumiewania się z partją ruchu jeździł często do Warszawy i podczas jednej z takich wycieczek był widzem i uczestnikiem manifestacji z dnia 27. lutego, w rocznicę bitwy Grochowskiej.

Wspaniała — grozą wstrząsająca scena:

Wielotysięczny tłum. Nad nim chorągwie narodowe, niby odosobnione fale krwi... Lud bezbronny. Pochodnie — symbole światła — i krzyże — znak męki — niesie w dłoniach. Idzie na kule, — na śmierć z pieśnią na ustach — spokojny i pewny siebie, bo wie, że idzie w nieśmiertelność!

Błyskawica — huk strzałów — krew — trupy...

Lud wita okrzykiem uniesienia pierwszą ofiarę — podnosi wysoko, niby sztandar, krwawe ciała. I nie cofa się. Cofnęli się mordercy.

Wspaniała — pełna grozy scena!

W pięć dni po manifestacji, po powrocie do domu, Deskur obdarza swoich włościan ziemią. Ma do nich przemowę, — prostą, szczerą i wzniosłą, jak prostem, szczerem i wzniosłem było jego serce...

* *
*

Noc z 21. na 22. stycznia zapala krwawe ognie na śniegiem zawianej, niewolą zmrożonej ziemi polskiej.

Noc ta zastaje Deskura, jako naczelnika siły zbrojnej powiatu, pod Radzyniem. Prowadzi oddział i kieruje napadem na to miasteczko, zajęte przez wojsko moskiewskie.

Potem — zmienne losy partyzantki, przerzucają go w Płockie, między Kurpie.

Tam formuje oddział kawalerji, tam poznaje szczero-złote serca chłopskie, pełne poświęcenia, odwagi, miłości ojczyzny.

— Na com patrzył, com widział w onej puszczy — mawiał nieraz głosem drgającym — tego nie zapomnę do grobowej deski. Cuda to, — cuda prawdziwe, jak pod gorącem tchnieniem walki dusza ludu otwierała się, zakwitała, niby kwiat przedziwny. Gdyby jeno była broń, cała ludność kurpiowska znalazłaby się w szeregach narodowych. Nie trzeba jej było werbować!“

Podczas pobytu na Kurpiach stacza dwie potyczki. W pierwszej ostre kosy chłopskie rozpraszają nieprzyjaciela, zdobywają znaczne trofea wojenne; — druga kończy się nieszczęśliwie dla powstańców.

Na rozkaz Rządu Narodowego, opuszcza z żalem szumiącą puszczę kurpiowską, wraca na Podlasie, przebywa jakiś czas w oddziale generała Kruka. Zaczem — wysłany przez tego ostatniego do Galicji dla formowania oddziału strzelców konnych, dostaje się do więzienia.

Siedzi najpierw we Lwowie, potem kolejno w Ołomuńcu, Rzeszowie, Opawie. Łaskawy rząd wrócił mu wolność wówczas dopiero, gdy nie mógł być szkodliwym: po upadku powstania.

Po tylu zawodach, cierpieniach, po utracie najdroższych nadziei, jedno mu już tylko pozostawało: tułactwo.

Cierpki los tułacza dla niego podwójną był zaprawiony goryczą. Niewiadomość o losie ukochanych dręczyła duszę, bieda materjalna — ciało.

Ale był silny, nie złamał się. Przywdział bluzę robotniczą i poszedł w pocie czoła pracować na kawałek chleba powszedniego...

Naraz zmienia się wszystko cudownie, jak w bajce.

Nieznany tułacz znajduje się w miasteczku Lure, w departamencie Haute-Saone, którego gminie ojciec jego, komendant placu wojsk sprzymierzonych z 1814 roku, wyświadczył szereg dobrodziejstw: obronił kilkakrotnie z narażeniem własnego życia miasto od zrabowania, a po skończeniu wojny, darowane sobie zapasy magazynowe i rekwizyty wojenne, wysokiej wartości pieniężnej, ofiarował gminie.

Tu wdzięczne serca pogarnęły się z szacunkiem i miłością syna do dobroczyńcy. Dano mu korzystną pracę, otoczył go dobrobyt, przyjechała ukochana żona, dziatki....

Dobrzeby mu było, gdyby umiał się kierować mądrą zasadą: *ubi bene, ibi patria.* Ale w piersi jego biło polskie serce, rozkochane w nieszczęśliwej ojczyźnie. Biło — i łaknęło wietrzyka z swojej ziemi — i widoku chat, widoku chłopa polskiego...

Tęsknota przejadała, jak rdza, silny organizm. Nie pomogły leki, kąpiele, góry obce. Gasł w oczach. Widząc to, zacni Francuzi wystarali się dlań drogą urzędową o prawo powrotu do Krakowa. Skorzystał z niego natychmiast.

— Pierwszy spotkany Krakus gracki w białej sukmanie więcej mi pożytku przyniósł, niż sławni doktorzy francuscy, bom na jego widok ozdrowiał cudownie! — opowiadał mi w chatce górskiej, którą nabył był sobie na własność i gdzie spędził parę ostatnich lat życia. A gdy to mówił, śmiały mu się oczy i usta na wspomnienie radości, której wówczas doznał.

Po powrocie do kraju pracował i działał dalej w imię ideałów, które przyświecały słońcem wielkokrężnem jego młodości. Nie sprzeniewierzył

im się nigdy w niczem i dla siebie nigdy niczego nie zapragnął, chyba — serca za serce...

Wiodło mu się rozmaicie. Człowiek, co odczuwał troski innych żywiej, niż własne, — co, gdy miał dwa, to dwa oddał, — taki człowiek nie mógł posiadać kies złota. Nikt jednak i nigdy nie kołatał nadaremnie do jego drzwi, nikt i nigdy, nie odszedł od nich bez porady, pomocy, bratniego słowa.

To też za życia miał skarb, — jedyny, który wydawał mu się godny pożądania — miłość ludzką. A poza grób towarzyszy mu żal powszechny — i to, czego w skromności swej nie chciał, o czem nie myślał — cześć!

M. Wysłouchowa.

W OBOZIE JANKOWSKIEGO.

(Z niewydanych pamiętników.)

Upadając od utrudzenia, głodu i dokuczliwego pragnienia, krętemi drożynami leśnemi, dotarliśmy do Leśnej-rzeki, małej wioszczyny, położonej w głębi zapadłych lasów przy tak zwanym trakcie „orylskim“, idącym od Warszawy na Kozienice i Garbatkę ku Zwoleniowi, którym od niepamiętnych już czasów flisacy zwykli pieszo powracać z Gdańska do Krakowa. Tu mieliśmy sześciogodzinny zaledwie odpoczynek, dostateczny jednak dla nabrania sił do dalszego pochodu.

W Leśnej-rzece, dowiedzieliśmy się, że nieprzyjaciel zamierza oskrzydlić nas trzema kolumnami, z których jedna silniejsza z dwoma działami, wyszła z Radomia traktem na Zwoleń ku Puławom, druga zaś, złożona z dwóch bataljonów piechoty i dwustu Kozaków, skierowaną została na Kozienice, skąd, rozdzieliwszy się na dwa oddziały, miała wyruszyć dwoma drogami: jedną na Gniewoszów, a drugą na Sieciechów, kierując obie dalszem powiślem ku Puławom, dla podania ręki pierwszej idącej z Radomia, i otoczenia nas tem łatwiej, że byliśmy przypierani do Wisły, przez którą do przeprawy, brakło nam środków. Trzecia kolumna wysłana na Jedlnę — miała rozkaz środkiem lasów postępować trop w trop za nami.

Stary wieśniak, który nam przywiózł powyższe wiadomości, miał dobre informacje. Kto mu ich udzielił — i jakim sposobem potrafił nas w głębi lasów odszukać, do dziś dnia pozostało dla mnie tajemnicą. Widziałem tylko jak nasz dowódzca po kilku zamienionych z nim cichych słowach — posmutniał, a po niejakiej chwili podniósłszy głowę, z miłym, poważnym uśmiechem coś mu mówił — dziękował, i serdecznie ściskał za rękę. Widziałem — jak starzec pochwycił rękę wodza, jak ją mimo oporu z jego strony z uszanowaniem ucałował, a potem przytłumionem cichem łkaniem zapłakał i łzy rękawem ocierał. Widziałem nareszcie jak dowódzca otrzymany od niego mały kawałek papieru raz jeszcze z uwagą odczytał — poczem starannie podarłszy na drobne cząsteczki — z wiatrem puścił.

Depesza zawiadomiała, że kolumny zabiegające przeciwko nam od strony Kozienic, wyszły z Radomia pośpiesznym marszem o godzinie dziesiątej z rana, z rozkazem zatrzymania się w Kozienicach tylko kilka godzin dla koniecznego wypoczynku, — i puszczenia się w pogoń za nami na całą noc... Zaś druga okrążająca nas od strony traktu Radomsko-Puławskiego, miała wyjść z miasta popołudniu. Nie było więc chwili czasu do stracenia.

Słońce już dawno schowało się za szczytami szarzejącego lasu, a tylko wyzłocone po brzegach chmury powolnie sunące po siniejącem niebie i przyrumienione szczyty wysokich sosen wskazywały że: „oko dnia jasnego“ jeszcze otwarte, ale już pomału zamrużać się poczyna. Nakoniec wierzchołki drzew, otaczające Leśną-rzekę, przestały się czerwienić, chmury poszarzały, napły-

wając od północy coraz to większemi i ciemniejszemi masami, i mrok, spotęgowany czarnemi cieniami boru, ogarnął nasze obozowisko.

Myśmy już wszyscy byli gotowi do pochodu. Żołnierze posileni, mający każdy po bochenku chleba i miarce wódki w tornistrze, w milczeniu oczekiwali rozkazu do dalszego marszu, gdy dowódzca zbliżył się do mnie, a wziąwszy pod rękę, odprowadził kilkanaście kroków na stronę.

Był to człowiek średniego wieku i wzrostu, krępy i dobrze zbudowany, — blondyn nieco w żółtawy kolor wpadających, krótko na głowie ostrzyżonych włosów. Włosy, i bujnie zapuszczona broda nadawały jego sympatycznej, dość zresztą pospolitej, sarmackiego typu twarzy, — kształt podłużnego owalu. Oczy duże, niebiesko-siwe, smutne i melancholiczne, zwykle skierowane ku ziemi zdawały się patrzeć przed siebie bezmyślnie — i — jakby z apatją. Wszakże z pod opuszczonych rzęs źrenice czasami szybko strzelały bystrym i przenikliwym zwrokiem. Chód i ruchy jego były powolne, rzekłbym ociężałe i leniwe, milczący i małomówny, odzywał się rzadko, głosem przyciszonym, łagodnym, nawet serdecznym, ale niezwykle nakazującym i stanowczym; czuć było w jego mowie i intonacji głosu, że co powie lub rozkaże — wykonanem być musi.

Nigdy nie opuszczał swoich żołnierzy ani na jedną chwilę; w pochodzie szedł pierwszy na czele oddziału, rzadko — i to w razie koniecznej potrzeby używając konia, którego zawsze za nim prowadzono. Na etapach troskliwie czuwał nad potrzebami swoich ludzi i sam dopóty nie wziął łyżki strawy do ust — i nie udał się na spoczynek, dopóki osobiście się nie przekonał, że każdy żołnierz najedzony i wypoczęty. Jadał ze wspólnego żołnierskiego kotła, gdy było co i gdzie ugotować, poprzestając na suchym kawałku chleba i wódce, gdy żywności brakło. Sypiał jak prosty szeregowiec na słomie lub sianie, rzadko pod dachem, a najczęściej pod gałęziami drzew lub gołem niebem w obozie, wspólnie z żołnierzami, znosząc deszcze, zimna i wszelkie niewygody. To też potrafił zjednać sobie miłość, wysoki szacunek i nieograniczone zaufanie, choć w tem przywiązaniu do wodza dużo było lękliwego uszanowania. Żołnierze kochali go jak ojca głęboko, szczerze, gotowi odważyć się na wszystko, gdy tylko ich dowódzca tego zażądał.

Dziś nad ranem mieliśmy niespodziewany ze strony Moskali napad, i dość żwawą ze dwie godziny trwającą utarczkę pomiędzy Brzuzą a Jedlną, na skraju lasów kozienickich, w której pierwszy raz widziałem naszego wodza na czele piechoty w ogniu wojennym. W obec niebezpieczeństwa zmieniał się nie do poznania, jakiś nowy duch wstępował w flegmatycznego i powolnego przedtem człowieka... Obiegał stanowiska z szybkością, jakiej w nim nigdy przedtem nie przypuszczałem. Gdy wydawał rozkazy, — głos mu potężniał, oko pałało niezwykłym ogniem, ale pomimo to, w każdym jego kroku i obrotach podczas bitwy widniały rozwaga i zastanowienie. Strzały nasze, były rzadkie, lecz celne, — ukryci po za grubymi pniami sosen lub jodeł, zasłonięci tu i ówdzie gęstymi krzakami, raziliśmy dobrze wroga, a sami ostatecznie zdołaliśmy się uporządkować do odwrotu i cofnąć się w głąb. Moskale, mający dwa razy większe siły, usiłowali odciąć nam odwrót, ale to im się nie udało. Ta właśnie kolumna nieprzyjacielska postępowała za nami trop w trop, z rozkazem nieprzyjmowania dalszej bitwy, a tylko wypchnięcia nas z lasów ku Wiśle.

Takim był nasz dowódzca Jankowski, przed którym stanąłem, oczekując rozkazów. Byłem oficerem wykształconym w wojskowej szkole pruskiej, wiedziałem, że pod względem teoretycznym posiadałem nierównie więcej nauki wojennej i cywilnej od mojego wodza, — ale sława, która go poprzedziła nim przeszedłem pod jego rozkazy i bliższe poznanie sprawiły, że człowiek ten tak mi imponował moralną potęgą swego osobistego charakteru i niezaprzeczonemi wysokiemi zdolnościami praktycznego żołnierza, jakich w tylu okazjach złożył dowody, że stanąłem przed nim z tem mimowolnem uszanowaniem, jakie każda wyższość duchowa na ludzi wywiera.

— „Panie Władysławie, szepnął mi zaledwie dosłyszanym głosem, jesteśmy w wielkiem niebezpieczeństwie. Osaczono nas tak ściśle, że niemamy innej drogi wymknięcia się, jak tylko iść prosto przed siebie i przeprawić się przez Wisłę.

— „Będzie to bardzo trudno panie naczelniku, odparłem. Czyby nie lepiej spróbować przemknąć się przez trakt lubelski poniżej Zwolenia na południe kraju?

— „Niepodobna!... wpadlibyśmy tam na znaczne siły nieprzyjacielskie, stojące między Janowcem i Kazanowem, gdzie wzięto by nas we

dwa ognie... Mam pewne w tym względzie wiadomości.

Spuściłem głowę ku piersi, po chwili rzekłem:

— ,,Na całem powiślu od Sieciechowa ku Puławom, jeżelibyśmy tam ścigającego nas nieprzyjaciela uprzedzić zdołali, nieznajdziemy łodzi do przeprawienia trzystu ludzi i tylu koni. Tylko pod Puławami są promy, ale o tej przeprawie marzyć nam nawet niepodobna...

— ,,Dlaczego niepodobna?... zechciej mi pan to niepodobieństwo dokładniej wytłumaczyć, rzekł dowódzca z naciskiem w głosie.

Spojrzałem mu w twarz nieco zdziwiony; z pod brwi Jankowskiego padał na mnie przymrużony, bystry i przeszywający wzrok, zdający się się sięgać do wnętrza mózgu i serca. Niewiem dlaczego, ale nie mogłem wytrzymać tego spojrzenia i zmięszałem się nieco.

On to zauważył, i zaraz swoim łagodnym i serdecznym, ale pomimo to stanowczo nakazującym tonem, — rzekł:

— ,,Żądam od pana szczerej i jasnej odpowiedzi... Odbywamy radę wojenną!...

— ,,Choćby dlatego odparłem, ochłonąwszy z mimowolnego wzruszenia, że kolumna nieprzyjacielska idąca od Radomia, o ile wyrozumieć mogę z udzielonych mi przez pana naczelnika wiadomości, o całe dwie lub trzy godziny czasu uprzedzi nas u przewozu pod Puławami i że nie wiemy, czy promy i łodzie są po tej stronie Wisły.

Oczy dowódzcy zajaśniały ożywionym blaskiem i miły uśmiech zaigrał mu na twarzy. Schwycił mnie za rękę, a uścisnąwszy gorączkowo, szepnął mi z niezwykłem u niego wzruszeniem:

— ,,Jesteśmy ocaleni!... kochany panie Władysławie — nad ranem przeprawimy się pod Puławami...

Ze zdumieniem słuchałem i patrzyłem na niego. Tak ożywionego nie widziałem go jeszcze nawet dziś z rana podczas utarczki pod Jedlną.

On nie wypuszczając mojej dłoni, którą wciąż trzymał i ściskał serdecznie, mówił dalej:

— ,,Chciałem tylko poznać zdanie tak wykształconego i roztropnego oficera, za jakiego pana uważam, i oto widzę, że jesteśmy jednego i tego samego przekonania: iż Moskale o dwie a nawet o trzy godziny czasu mogą nas uprzedzić u przewozu pod Puławami. Jestem pewny, że wojsko idące z dwoma działami, musiało zarezerwować dla siebie promy i łodzie po tej stronie Wisły. Przypuszczam nawet, że musi tam być jakaś straż pilnująca łodzi, których zajęcie ja sam biorę na siebie... Idzie tylko o wstrzymanie nieprzyjaciela idącego traktem puławskim.

— ,,Właśnie chciałem zwrócić na to uwagę pańską... szepnąłem z pewnem wahaniem w głosie.

Dowódzca powtórnie ścisnął mnie za rękę.

— ,,Wykonanie tego arcyważnego zadania pozostawiłem tobie panie Władysławie. Od ciebie, twojej przezorności i przytomności umysłu tej nocy, — zależy los tych oto wszystkich ludzi.... To mówiąc, wskazał ręką na milczących żołnierzy, którzy, jakby przeczuwając, jak ważna toczy się między nami rozmowa, stali opodal spokojnie — spoglądając w naszą stronę.

Wytężyłem słuch z uwagą.

— ,,Wybrałem już dla pana oddział z piętnastu najroztropniejszych ludzi, na najlepszych koniach. Każdy koń ma na sobie trzy garnce owsa, który im zaraz dacie, jak tylko staniecie w Checholskim lesie, położonym przy trakcie puławskim, którym nieprzyjaciel iść będzie. Teraz już w pół do dziewiątej, rzekł spojrzawszy na zegarek, za dwie godziny powinniście być na miejscu. Daję panu wiernego i dobrego przewodnika — oto siedzi na koniu i czeka na pana; mówiąc to wskazał mi ręką starego wieśniaka; — zna on dokładnie miejscowość i każdą leśną drożynkę...

Dowódzca zatarł ręce z zadowoleniem, — ja nic jeszcze nie rozumiejąc — słuchałem ciekawie, co mi dalej powie...

— „Kolumna z Radomia, jeżeli wyszła dziś o czwartej lub piątej popołudniu, to można na pewno twierdzić — że jej kawalerja o północy nadciągnie do Zwolenia, a piechota i działa nadejdą nieco później, — więc nam czasu jeszcze wystarczy. W lasach Checholskich podsuniesz się pan jak można najbliżej pod Zwoleń, a kogo tylko spotkasz idącego — czy jadącego do miasta dasz mu do zrozumienia, że cały nasz obóz stanął pod Chechołami i wypytując nibyto o nieprzyjaciela, postarasz się zaalarmować wszystkich przy trakcie mieszkańców w ten sposób: że na rano potrzebujemy żywności na tysiąc ludzi i pięćset koni; zaś w samym lesie w miejscach odpowiednich, każesz pan przygotować stosy drew, które za zbliżeniem nieprzyjaciela zapalisz, jakoby ogni-

sko obozowe. Noc, na szczęście mamy tak ciemną, że nieprzyjaciel przekonany że ma przed sobą nas wszystkich, i że my o nim nic nie wiemy, zatrzyma się z pewnością i w cichości czekać będzie do rana, aby nas za białego dnia otoczyć. Ja idę na Sarnów i Smogorzew, do czwartej rano czekam na was u Wisły pod Puławami. Ale powtarzam raz jeszcze — tylko do czwartej póki jeszcze ciemno, czekać mogę, ani minuty dłużej... Zregulujmy zegarki.

Wydobyliśmy swoje repetjery. Ja zapaliłem podróżną latarkę, przy której czerwonawym blasku przekonaliśmy się, że oba są w zgodzie.

Ten zręczny plan wstrzymania kilkakroć razy silniejszego nieprzyjaciela i śmiały obrót wojenny wejścia na właściwą drogę przeciwnika, zabierając mu prawie z przed nosa jego własne środki przewozowe, by mu się wymknąć na drugą stronę Wisły, tak mi zaimponował, że na razie nie znalazłem słówka odpowiedzi. Szumiał mi także w głowie rozkaz wstrzymania pochodu kilkotysięcznej kolumny nieprzyjacielskiej, zapomocą kilkunastu kawalerzystów i odpowiedzialność za bezpieczeństwo całego naszego oddziału, gdyby mi się tego szczęśliwie dokonać nie udało. Zauważył ten mój frasunek dowódzca, bo nie czekając odpowiedzi przemówił jeszcze:

Czy zrozumiałeś dobrze, panie Władysławie, rozkazy?

Ach! zrozumiałem mój wodzu, zrozumiałem doskonale!.. Podziwiam twoją przytomność umysłu z jaką umiesz się wydobyć z tak trudnego położeni. Ale czy ja dam sobie radę?.. czy potrafię spełnić dany mi rozkaz, tak jak potrzeba? Przyznaję, że brak mi, panie naczelniku, twego praktycznego doświadczenia.

Odpowiedź pańska, daje mi rękojmię, że nasz plan będzie wykonany z powodzeniem. Przewidywałem jednak ten pierwszy pański debiut wojenny w takiego rodzaju walce, bo w liczbie piętnastu ludzi, których ci oddaję pod rozkazy, masz dwóch podoficerów, którzy już wiedzą, o co rzecz idzie i na których doświadczeniu śmiało można polegać. Ostatni raz jeszcze, zalecam panu czujność i rozwagę w działaniu, — masz dwie godziny czasu jadąc ku Chechłom do naradzenia się z Marcinem i Józefem... Żegnam pana!... O czwartej rano czekam was na łodziach u Wisły... a teraz marsz!

Ścisnąłem go za rękę w milczeniu; dowódzca skinął na mój oddziałek, wskazał mi go ręką, uchylił czapki, a dłonią od ust posyłając nam pożegnanie, powtórzył dobitnie: — marsz!... — Niech żyje nasz dowódzca Jankowski, wykrzyknęło kilkanaście głosów i za chwilę cwałowaliśmy orylskim traktem ku Chechłom.

. . . .

Noc zasmuciła niebo i ziemię, a las ciemnemi masami drzew zaledwie oderwał się od górnego tła niebios, na którem ciężkie chmury rozpościerały swój posępny całun, sunąc od północy zwolna — leniwo... Wiatr szumiał po wierzchołkach boru, wygrywając jednę z tych nocnych, uroczystych melodyj leśnych, niezamąconych żadnym odgłosem żyjącego stworzenia. Tylko miarowy tentent naszych cwałujących koni, przytłumionym i regularnym tempem wtórował tej poważnej muzyce lasu. Mrok coraz gęstszy nas otaczał, nad nami, pomiędzy dwoma czarnemi, wzdłuż drogi biegnącemi masami drzew, widniał zaledwie dojrzany wąski pas nieba. Drogi przed nami nie było widać wcale, tylko nieprzenikniona okiem czarna otchłań nocy, w którą zdawaliśmy się lecieć na oślep... Zaledwie zdołałem rozróżnić najbliższych moich towarzyszów i cwałującego obok mnie przewodnika, którego siwa wieśniacza sukmana nieco wyraźniej się z pośród ciemności wyróżniała. Siedzącemu na koniu zdawało mi się, — że płynę w powietrzu w jakąś wielką, nieznaną, tajemniczą nieskończoność... Potęga otaczających mnie wrażeń i odbieranych uczuć, nieprzenikniona ciemność nocy, posępny, melodyjny śpiew lasu, — rytmiczny takt galopujących koni, — i lekki falujący ruch unoszącego mnie wierzchowca — poczęły coraz bardziej kołysać moją duszę, wyobraźnię i usposabiać do marzeń; zdawało mi się, że pędzimy, z krótkim przypartym od szybkiej jazdy oddechem, w jakimś ogromnym czyśćcu dantejskim, skazani jak potępieńcy na nieustanne ściganie za wciąż wymykającym się przed naszą pogonią, dalekim, nieuchwytnym ideałem ziemskiego szczęścia...

W tem chłodniejszy wiatr musnął mnie po licach. Ocknąwszy się z zadumy spostrzegłem, że las pozostał za nami w tyle i że mogłem już łatwiej rozróżniać niektóre bliżej przed oczami leżące przedmioty. Zwolniliśmy bieg koni. Przed nami rozciągało się rozległe pole, z którego dolatywał delikatny szmer falującego zboża, a na dalszym horyzoncie pobłyskiwały jakieś światełka

zapewne z dogasających ognisk na kominach chat wieśniaczych.

— Otóż i Garbatka, tam gdzie się świeci — rzekł stary wieśniak.

Przybliżyłem konia do naszego przewodnika.

— Mój ojcze, rzekłem, trzeba nam jechać wprost do traktu pod Zwoleń, od strony Puław, gdzieby można dostać języka. Prowadź nas jak najbliższą drogą do lasów leżących nad tym traktem, ale przedewszystkiem w stronę najbliższą Zwolenia, skądbyśmy mogli bez trudności dostać się do Załuż lub Checheł, stosownie do potrzeby. Czy możecie z tego miejsca wprost skierować się pod Zwoleń, dla skrócenia drogi?

Stary skinął głową potwierdzająco i wysunął się naprzód. Okrążyliśmy Garbatkę, zapuściwszy się w jakieś boczne gospodarskie drożynki. Trzeba było niezwykłej znajomości okolicy do kierowania się w ciemności, pośród tej zawikłanej sieci rozlicznych dróżek wieśniaczych, przesmyków i ścieżek, bo nieraz przewodnik prowadził wprost przez pola, samym środkiem zbóż, pomiędzy któremi, po wąskich miedzach, ostrożnie gęsim sznurem przebieraliśmy się, jeden za drugim, trzymając krótko koniom cugle, by ich co nie spłoszyło. Czasem przemykaliśmy się około odosobnionych osad rolniczych, z których psy oszczekiwały nas zajadle, ale nim ciekawi mieszkańcy zdołali wybiedz, odsuwaliśmy się daleko, niknąc w ciemnościach.

Nareszcie dotarliśmy do jakiegoś lasu, gdzie po kwadransie dalszego zapuszczania się w jego wnętrze, przewodnik zatrzymał się i, obróciwszy ku mnie, wskazał ręką przed siebie, gdzie za ciemnemi pniami i konarami drzew przeglądał białawy, szary pas traktu, — a dalej mrugały jasne światełka z chat położonych za drogą. Zatrzymaliśmy się; stary wieśniak zsiadł z konia, przywiązał do drzewa cugle i, podszedłszy do mnie, rzekł:

— Otóż i trakt lubelski, panie naczelniku, a za nim mieszkają ludzie, ot tam, gdzie się świeci. Pójdę zasięgnąć języka.

Skłoniłem głową potwierdzająco, — po chwili czarna sylwetka starego chłopa sunęła po jaśniejszem tle drogi.

Niebawem przerwały ciszę nocną krótkie i urywane, to znów przeciągłe i smętne ogłosy szczekających psów od strony, w którą poszedł nasz przewodnik, poczem nastąpiła chwila milczącego, wytężonego oczekiwania. (Dok. nast.)



Błogosławienie kos.

Chłopi galicyjscy a powstanie.

(Przyczynek do kwestji.)

Na pytanie, jaki oddźwięk znalazła insurekcja styczniowa w sercach ludu polskiego w Galicji, trudno znaleźć odpowiedź w dotychczasowej literaturze. Nawet monografja p. Rawity Gawrońskiego p. t. „Rok 1863 na Rusi“ przechodzi nad tą kwestją do porządku dziennego i poprzestaje tylko na

wzmiance o zebraniu włościan pod kopcem Kościuszki i odezwie do narodu polskiego, wątpliwej zresztą autentyczności, gdyż brak pod nią jakichkolwiek podpisów.

Gdy się do tego zważy, że ruch zbrojny nie ogarnął z różnych przyczyn całego społeczeństwa galicyjskiego i nie stał się ruchem masowym, to już krok tylko do wniosku, że zmartwiałe pod wpływem austrjackiego biurokratyzmu fale ludowe, ani nie drgnęły nawet na szczęk broni za kordonem, w najmniejszym stopniu nie poczuły się do wspólności z rozpaczliwymi wysiłkami powstania.

Snop światła jednak pada na kwestję ze strony jak najmniej spodziewanej, bo z działalności galicyjskich sądów wojennych, po których dochował się urzędowy rejestr skazanych za różne zbrodnie, a między innemi za udział w powstaniu. Jak bowiem wiadomo, zajmowała zawsze Austrja wobec powstań polskich stanowisko wyczekujące, a dopiero gdy szala zwycięstwa przechylała się na stronę Moskwy rzucał rząd austrjacki swoje: „biada zwyciężonym!“ Tak i ku końcowi styczniowego powstania, w lutym r. 1864, ogłoszono stan oblężenia, a w dziesięciu większych miastach galicyjskich poczęły funkcjonować sądy wojenne, których wyroki ogłaszano w urzędowej „Gazecie Lwowskiej“.

Od 1. marca 1864 do 14. stycznia 1865 tj. do chwili gdy zaniechano procesów politycznych, skazały te sądy przeszło 11.000 osób, z czego przeważającą część za udział w powstaniu.

W spisie skazanych znajduje się i włościan mnóstwo, znaczna jednak ich liczba ponosiła karę za występki, z powstaniem nic wspólnego nie mające. Przestępców bowiem politycznych rejestrowano na równi ze zbrodniarzami zwykłymi, a gdy w niewielu stosunkowo wypadkach wyspecjalizowany jest rodzaj zbrodni przy nazwisku skazanego, przeto i odróżnianie powstańców od pospolitych zbrodniarzy, bardzo jest utrudnione.

Są jednak pewne kategorje przestępstw, które się tyczą bezpośredniego lub pośredniego tylko udziału w powstaniu, a mianowicie: zaburzenie spokojności publicznej, zbrodnia nieprawnego werbunku, bunt, zdrada główna, a dalej te przestępstwa, które rejestr ów wymienia wyraźnie, jak: transportowanie powstańców, dostarczanie im rekwizytów wojskowych, odbieranie przysięgi od ochotników, zaopatrywanie powstańców w pieniądze, zbieranie i ukrywanie ochotników, zbieranie składek, transport prochu do powstania, bezpośrednie udanie się na plac boju i prowadzenie tam innych, pobór i płacenie podatku narodowego, a wreszcie i takie jak śpiewanie pieśni „Boże coś Polskę“ itd.

Otóż przesiewając w ten sposób owe tysiące nazwisk przez bardzo gęsty przetak krytyki i niedowierzania znajdziemy przedewszystkiem wielką liczbę rękodzielników i mieszczan galicyjskich, skazanych za udział w powstaniu, nie mniejszą liczbę szlachty, a wreszcie i kilkudziesięciu włościan.

Mimochodem tylko zaznaczyć należy, że mieszczaństwo galicyjskie, nawet małomiasteczkowe śliczne pozostawiło ślady swojej działalności w powstaniu. Czeladników bowiem rękodzielniczych, robotników, majstrów, zasądzonych za bezpośredni udział w powstaniu są całe setki, tak samo jak i skazanych za pomoc udzielaną powstaniu.

Co się tyczy włościaństwa, to przeglądając wcale nawet pobieżnie spis powyższy, znaleźć można s z e ś ć d z i e s i ę c i u p i ę c i u w ł o ś c i a n z r ó ż n y c h p o w i a t ó w g a l i c y j s k i c h, skazanych wprost i wyraźnie za udział w styczniowem powstaniu.

Oprócz nich zaś i oprócz dalszych siedmiu włościan galicyjskich schwytanych wprost na polu walki w Królestwie, znajduje się dalszych 119 włościan, o których nie można powiedzieć pozytywnie, że skazani zostali za udział w powstaniu, ale co do których zachodzi najwyższy stopień prawdopodobieństwa, że za nic innego karę nie ponieśli, jak tylko za powstanie.

Liczba to mała i na jej podstawie nie można mówić o jakimś znaczniejszym ruchu wśród naszych włościan, wystarcza ona jednak do skonstatowania, że chłop galicyjski, przynajmniej w swych szlachetniejszych jednostkach nie pozostał obojętnym wobec wysiłków narodowych.

A wynik ten, pamiętać trzeba, pochodzi z jednostronnego tylko źródła. Dalsze badania, a choćby zebranie rozrzuconych tu i ówdzie wiadomości, dałoby obraz wyrazistszy i jaśniejszy.

A jeszcze słowo z wyroków sądu wojennego. Z liczby 11.000 osób skazanych, więcej niż połowa cierpiała karę za niedozwolone noszenie broni i przechowywanie jej w domu, a w tej znowu połowie ogromna jest liczba włościan.

Któryś ze sądów wojennych skazał za transport prochu na pole walki Marcina Bobę z Babcza,

włościanina, córkę leśniczego, majstra krawieckiego i literata i to wszystkich razem za jeden wypadek. W obliczu sądu te stany się zrównały, jedną karę poniosły za jeden cel wielki i święty, za który cierpiał i Sapieha i drobnej szlachty tysiące i taki Franciszek Podgórski, szewc w Brodach i Jan Kanty Skoczylas, ksiądz z Żołyni i Udalryka Czyżewiczówna, córka urzędnika z Krosna, a obok nich wszystkich Mikołaj Czerwiński, robotnik fabryczny i wreszcie Jan Waciuk z Gruszki i Mikołaj Hulik i Andruch Worona i mieszczanki z Leżajska i tylu, tylu innych.

Franciszek Jaworski.

Więzienie karmelickie.

Stoi dziś we Lwowie przy ulicy Batorego gmach nowożytny sądowy z trzema orłami na froncie, sztucznym marmurem i innemi ozdobami upstrzony, a w jego dziedzińcu stare okopcone mury, z malutkiemi, okratowanymi oknami: więzienie śledcze.

I ten właśnie kryminał stanowi ponurą kartę w dziejach naszych porozbiorowych, jako miejsce katuszy setek „więźniów stanu“.

Za czasów Rzeczpospolitej stał tam kościół i klasztor Karmelitów trzewiczkowych. Po józefińskiej kasacie zakonów w r. 1783 przeniesiono zakonników do obecnego kościoła Karmelitów na górze, a sadybę ich obrócono na przędzalnię jedwabiu i więzienie śledcze, dla zbrodni politycznych. Na miejscu zaś kościoła stanęło znacznie później gimnazjum Franciszka Józefa.



Więzienie karmelickie.

Mury karmelickiego więzienia przepełniły się po raz pierwszy rozbitkami z powstania listopadowego i późniejszymi partyzantami. — Ówczesny prezydent sądu karnego Józef Pressen dusił ich w celach wilgotnych i pozbawionych światła, tak że naprzykład Zaliwski dostawał konwulsji, a wśród śledztwa wspomaganego kijami, głodzeniem więźniów, bezsennością, oszalał Psarski, Zieliński i Fischer, zmarli Włyński, Krzeczkowski i Eugeniusz Ulatowski, których pochowano w nocy i w największej tajemnicy. Straszne wspomnienie kijów, odbieranych przez rozbestwionych żołdaków, uniósł Adam Włyński, starzec, powszechnie poważany obywatel, i późniejszy męczennik za sprawę narodową, Teofil Wiśniowski.

W r. 1837 ukończył się ów proces ogłoszeniem całego szeregu drakońskich wyroków. Chwila to pamiętna dla Lwowa, gdy pod pręgierzem, w galerji gmachu kryminalnego odczytywano dekrety na całe lata Kufsteinu. Tłumy ludu zalegały wówczas plac Bernadyński, żegnając choć zdala najdroższe osoby — z okien przyległych kamienic kobiety chustkami na długą drogę i ciernisty żywot skazańców.

Na ich miejsce przyszli inni. W roku 1839 i 1840 więzienie pokarmelickie zaludniło się nowymi spiskowcami, wśród których znaleźli się także Smolka, Ziemiałkowski, Dunajewski i w. i.

Najbardziej ponura scena rozegrała się jednak w więzieniu karmelickiem dnia 28 lipca 1846 r., gdy wśród tłumów ludu, odczytano wyroki śmierci Kapuścińskiemu i Wiśniowskiemu. Ogromny i wielki płacz wstrząsnął wówczas piersiami całego Lwowa, a w dwa dni potem głuche milczenie i... straszna egzekucja na hyclowskiej górze.

Rok 1848 zakończył procesy polityczne, ale w kilka lat później znowu gmach karmelicki zapełniać się począł coraz to nowymi ludźmi, aż przyszło i ostatnie pokolenie walczące, w r. 1864, po powstaniu styczniowem.

Z tych właśnie czasów pochodzi rysunek, który czytelnikom naszym podajemy. Odrysował mury karmelickiego więzienia śp. Niewiadomski, ojciec p. Stanisława Niewiadomskiego, muzyka, więziony za udział w powstaniu styczniowem, razem z całą rzeszą innych. Rząd austrjacki wtenczas nie był tak okrutny dla powstańców

jak dawniej, przynajmniej nie więził ich w celach odosobionych, skutkiem czego i los więźniów był nieco znośniejszy. Nudy więzienne uprzyjemniano sobie, między innemi urządzaniem wyścigów na jednej nodze po kaźni. Najwytrwalszym wyścigowcem był Stanisław hr. Tarnowski obecny filar szkoły krakowskiej. Zachowała się nawet fotografia p. Tarnowskiego z tych czasów z następującą dedykacją: „Sekretarzowi wyścigów Cz... na pamiątkę — koń".

Rok 1861—1864

Z PIŚMIENNICTWA i PAMIĄTEK.

KSIĄŻKI. *Baśń Puszczy Białowieskiej*. Poema; napisał Wacław Makowski. Kraków. Druk Anczyca i spółki.

W pierwszej części utworu p. Makowskiego, „Z księgi wyroków", Duch Narodu idzie na rozkaz Boga na świat i przekonuje się, że żyjący na ziemi jego członkowie zobojętnieli w jarzmie niewoli, jakby zapomnieli o przeszłości. Zdaje z tego Duch sprawę temu, który go wysłał i mówi o swem zwątpieniu, ale Bóg wysyła go z powrotem, aby obwieszczał żywą przyszłość narodowi. W drugiej części pt. „Duch", pisanej wierszem w formie djalogu, widzimy Ducha na Litwie, w głębi puszczy Białowieskiej. Tu wśród szumu drzew i kwiatów zastaje Duch młodego poetę, opiewającego swoje osobiste radości i smutki. „Ja twojej pieśni nadam treść" mówi mu Duch i odchodzi a poeta rusza w świat zwiastować pieśnią dzień zmartwychwstania narodu. Część trzecia pt. „Śmierć", formą taka sama, jak poprzednia, przedstawia, jak na tle głosów leśnej przyrody snuje ranny człowiek przedśmiertne marzenia. Śmierć nadchodzi, kładzie mu chłodne dłonie na głowę, a on przypomina sobie wiary swojego życia i ich upadki, a więc rojenia dziecięce, zapały miłośne i marzenia o walce za zmartwychwstanie narodu. Wszystko przepadło. Nie pomagają błagania dziewicy-kochanki ranny umiera. Część czwarta „Legenda" obejmuje opowiadanie starca-weterana, który młodej dzieweczce kreśli epizod z ostatniego powstania, pochody powstańców po lasach i utarczki ich z kozakami. W jednej z nich młody poeta i żołnierz, którego dzieje duchowe zawarte były w dwóch pieśniach poprzednich, pada ranny od kuli kozackiej. Na pobojowisku znajduje go kochanka i na jej rękach umiera młodzieniec.

Marzeniem dziewczyny na temat tej opowieści i wyznaniem wiary jej w dzień zmartwychwstania pod wpływem pieśni, kończy się utwór p. Makowskiego. Treść jego, symbolizująca w akcji i osobach na poły realnych i fantastycznych epokę ostatniego naszego ruchu zbrojnego, zawiera tę myśl przewodnią, że, jak pieśń poczęta z narodowego ducha, stworzyła powstanie styczniowe, tak ona poprowadzi kiedyś naród i do wyzwolenia. Zarówno w ujęciu tej myśli, jak i w poszczególnych symbolach i innych artystycznych środkach p. Makowski nie jest ani nowym, ani nie wznosi się w nich nad swoich współczesnych. Starą jest i wiara w potęgę pieśni, i owe źródło jej w boskim rozkazie. W formie baśni idzie p. Makowski za prądem współczesnym zarówno jak i w takich personifikacjach, jak Duch, śmierć, lub mówiące ludzkim językiem wichry, dęby, kwiaty i boginki. Nastrojowość i wizjonerstwo p. Makowskiego są także pozapożyczane z literatury współczesnej, a dowolność w mięszaniu djalogu w wolnym rytmie i rymie, z poetycką prozą części pierwszej i z oktawami czwartej, przypominają żywo najnowsze utwory polskich poetów.

Mimoto jest jednak utwór ten wysoce charakterystycznym. Oto bowiem z jednej strony jest on w treści jakby niezamierzonym przez autora wyrazem współczesnej ewolucji w poezji polskiej, w której, zaniedbany pod wpływem nowinek z zachodu, pierwiastek narodowy wydobywa się żywiołowo z pod nawały prądów poetyckich o charakterze egoistycznym i z taką potęgą zabłysnął w utworach Wyspiańskiego. Z drugiej strony zaś znamiennem w tym utworze jest to, jak ten pierwiastek wchłonął w siebie i ujął w swoje służby te środki artystyczne, które wytworzyło hasło „sztuka dla sztuki". Oto z pośród rojeń mistycznych, wizji, duchów, bajecznych postaci etc., używanych w utworach, które zdawały się zapowiadać umiędzynarodowienie poezji polskiej, wydobywa się na zewnątrz narodowy romantyzm najczystszej wody, naśladowany wiernie według tego, który wypłynąwszy z potężnego źródła poezji Mickiewiczów i Słowackich, rozpalał dusze walczących i ginących w walce za ideały narodowe. P. Makowski nie jest do tego stopnia artystą, żeby wyjść zwycięzko z walki środków artystycznych z tematem odmiennego pochodzenia i dojść aż do oryginalności; stąd naiwna naśladowniczość, a gdzieniegdzie nawet prymitywność treści i formy, ale znamiennym jest sam fakt walki. *S. W.*

*

„Rok 1863 na Rusi". Fr. Rawita-Gawroński. Lwów. 1902. Znany badacz dziejów i powieściopisarz — potrącił w świeżo wydanem dziele o struny — rozbrzmiewające niezmilkłymi jeszcze żalami i wspomnieniami. To, co się dziś pisze o 1863 r. jest więcej zbieraniem i grupowaniem materjałów, niż należycie oświetloną i z perspektywy czasu wziętą historją, raczej źródłowem kolekcjonerstwem, jak silnie zarysowaną i skrystalizowaną konstrukcją. Pomijając literaturę pamiętnikarską, pisaną pod kątem własnych widzeń, — należą wszystkie prawie wydawnictwa o 1863 r. do powyższej kategorji. Pod ten sam rodzaj należy podciągnąć pracę p. Gawrońskiego. — Mnóstwo

wiadomości, — artystycznego obrazu i perspektywy mało. Autor czerpał z materjałów archiwalnych, — zna doskonale literaturę przedmiotu, — na każdym kroku odsłania benedyktyńską pracowitość swej roboty. Niestety ważne źródła dziejowe są niedostępne, a tem samem sposób przedstawienia rzeczy ulegnie kiedyś może niejednej poważnej zmianie, gdyż archiwum namiestnictwa nie prędko się otworzy dla historyków ostatniego powstania. W jednym tomie ścieśniono temat olbrzymi: cały ruch w Galicji wschodniej od początku wybuchu zbrojnego powstania w Kongresówce aż do ogłoszenia stanu oblężenia w Galicji i wystąpienia rządu austrjackiego z otwartą przyłbicą przeciw walce o wolność. W tym kalejdoskopie, przesuwa się lista najgłośniejszych ludzi, — których mieliśmy w drugiej połowie zeszłego stulecia, — prawdziwe bogactwo nazwisk, działań i powiedzmy szczerze czynów, porywających szlachetnością — ale demoralizujących swoją niezaradnością i nieudolnością. Rozwój ruchu we wschodniej Galicji — w oświetleniu autora — znamionuje brak dowódców, brak konsekwencji, karności i osobiste rozterki. Ten dramat niemocy powiększają różne jednostki, — stojące na czele — a nie umiejące dopasować się do wielkiej chwili. Dziś poznaje się ich błędy, — kiedyś, na grobach tych, co jeszcze żyją, — historja powie o nich ostatnie słowo. Ale są fakty, które już teraz przejmują grozą i boleścią, jak n. p. taka wyprawa Wysockiego pod Radziwiłłów i kilka innych wypadków, omówionych w książce. — Trudno wchodzić w szczegóły i wskazywać, czy wszystkie fakta w pracy p. Gawrońskiego w właściwem stanęły oświetleniu i na właściwych oparte są podstawach. Przedstawienie udziału Zygmunta Miłkowskiego w akcji wymaga pewnych komentarzy. W „Roku 1863 na Rusi“ przedstawiono sprawę tak, — jakby on nacisnął dopiero swą dłonią sprężynę powstańczą na Rusi. Prawda, Jeż miał zostać duchem płomiennym i ożywczym na Wschodzie, — zanim go jednak komitet centralny sprowadził, aby mu oddać naczelne kierownictwo nad siłami zbrojnemi w tamtych stronach, — przeprowadzała organizację już rodzina Korzeniowskich, a zwłaszcza Apollo Korzeniowski i Stefan Bobrowski — z ofiarnością i nakładem olbrzymiego poświęcenia. Komitet centralny po zaaresztowaniu Korzeniowskiego posłał na Ruś dla ostatecznego porozumienia się z Bobrowskim, Leona Frankowskiego. Miłkowski zastał zatem poniekąd grunt przygotowany. Szanowny autor o tych szczegółach nic nie wspomina, — przez co opowieści swojej daje niezupełne pod względem pragmatycznym tło. Najcięższy zarzut, jaki uczynić można cennej zresztą pracy, tkwi w przemilczeniu i nieuwzględnieniu stanu umysłowego społeczeństwa na Rusi, — a zatem najgłębszego duchowego i moralnego czynnika, który decydująco wpłynął na kresową organizację powstańczą. Ideologia czy ignorancja, czy też rozmyślnie optymistyczne przedstawienie rzeczy na Ukrainie, wprowadziły w błąd głównych kierowników akcji i naród. Szkoła ukraińska, zwłaszcza Michał Czajkowski, łudziła się idealną jakąś kozaczyzną, która miała powstać, jak tylko pokaże się nad Bohem czer[illegible] sztandar z orłem i pogonią, a cała Kongresówka [illegible]wierzyła. Przyszły historyk organizacji w Galicji, będzie musiał fakta, nie uwzględnione przez p. Gawrońskiego, z całą dokładnością skreślić i określić. Z mniejszych usterek zauważyć należy, — że komitet centralny zawiązał się już z końcem 1861 r. — nie w 1862 r. Komitet krakowski założyli Kubala ze Szwarcem. Przed ich akcją istniała dosyć niewyraźna organizacja, którą młodzież poddała dyrektywie nowego komitetu.

Kilkanaście, przeważnie udatnych, rycin zdobi wydawnictwo.

Zastrzeżenia wyliczone nie mogą odebrać wartości wielu, bardzo wielu istotnie ciekawym i mozolnie napisanym ustępom dzieła p. Gawrońskiego, — które dużo rzuca światła na nieznane lub mało znane sprawy i stosunki. *Ernest Łuniński.*

PISMA. *Ruch*, urzędowe pismo Komitetu Centralnego i Rządu Narodowego. Komitet Centralny, to jest główny Zarząd organizacji przedpowstańczej, dla przygotowania narodu polskiego do powstania przeciw zaborcom, został utworzony w końcu r. 1861 w Warszawie przez kilku ludzi dobrej woli, między którymi prym wodzili poeta Apollo Korzeniowski z Ukrainy i urzędnik konsystorza ewangielickiego, Bolesław Denel z Kaliskiego. Po aresztowaniu ich obu musiano Komitet zreorganizować w Maju 1862 r., i wówczas wszystkie prawie stronnictwa, oprócz organizacji białej, szlacheckiej Andrzeja Zamojskiego, miały w nim swoich przedstawicieli; członkami byli wówczas: Jarosław Dąbrowski, Agaton Giller, Władysław Koskowski, Witold Marczewski, Bronisław Szwarce, Władysław Daniłowski, Jan Wernicki. Jako literat, Agaton Giller podniósł myśl wydawania urzędowego pisma, bo chociaż istniało tajemne pisemko, *Strażnica*, którego sam Giller był podobno spółpracownikiem, większość Komitetu uważała jej kierunek za zbyt umiarkowany, a główny redaktor Joachim Szyc, który później wstąpił do Komitetu, nie chciał zmienić kierunku. Uchwalono więc założenie „Ruchu“, który zaczęto drukować nasamprzód na Nowym Świecie, potem na Mostowej ulicy, na bardzo niezgrabnej prasie ręcznej, szczotkowym sposobem tak, że niektóre numera były prawie zupełnie nieczytelne. Trudno się teraz dowiedzieć po tylu latach, kto zasilał artykułami ów pamiętny ósemkowy organ: głównie zdaje się Giller, chociaż pisywali także Marczewski, Podlewski, a później Stefan Bobrowski. Szwarce zdobył się tylko na artykuł, i zdaje się na proklamację, kiedy Wielopolski sprowadził, jako najwyższą łaskę, brata cesarskiego, Konstantego na Namiestnika, a nikt nie chciał odpowiedzieć na dość zręczną odezwę Wielopolskiego, zwiastującą taką wspaniałą zdobycz jego polityki. Zresztą Szwarce, jako urodzony i wychowany we Francji, władał bardzo słabo polskim językiem.

Odtąd „Ruch“ wychodził dość regularnie, aż do samego powstania. *Strażnica* wychodziła swoją drogą, przedstawiając umiarkowany kierunek. Giller pisywał i do jednego i do drugiego pisma. W Grudniu 1862 r. drukarz „Ruchu“, nazwiska nie pomnę, ale przezwany Marjanem, bo był garbaty, a taka postać znajdowała się w jednej z najbardziej popularnych powieści Korzenio-

wskiego, przeniósł, pomimo wyraźnego zakazu, cały swój arsenał do własnego mieszkania przy Ul. Widok N. 1575; tam został podpatrzony podobno przez niejaką Kraszewską, żonę konduktora kolei, zadenuncjowany i aresztowany, a ponieważ ten dom należał do ciotki B. Szwarca, który o tem aresztowaniu nie wiedział, i jego tam przytrzymali 22 Grudnia 1862 r. Wówczas już Giller nie brał udziału w pracach Komitetu, ponieważ uchwalono powstanie n a w i o s n ę, a on chciał jeszcze dalej go odciągnąć: więc niewiadomo kto właściwie dyrygował wydawnictwem „Ruchu" i kto dopuścił do takiej opieszałości. „Ruch" został później wznowiony, a po wydaniu ogółem kilkunastu numerów, był zastąpiony przez *Wiadomości z pola bitwy*, pod wyłącznym kierunkiem Agatona Gillera. Egzemplarze „Ruchu" należą do bardzo wielkich rzadkości bibliograficznych, głównie dla tego, że po zniknięciu krańcowych jego redaktorów (Podlewskiego, Szwarca, Marczewskiego) nikt nie dbał o istnienie pisma, sprzecznego z późniejszym umiarkowanym kierunkiem. Drukarz „Ruchu" był wysłany na Sybir, a po powrocie do kraju, zaczął jakiś interes za zarobione w Syberji pieniądze, zbankrutował i zabił się. *A. B. S.*

NOTATKI. *Powstańcze pamiątki.* Pan Jarosław Pieniążek przez dwadzieścia przeszło lat gromadził rozrzucone i niszczejące pamiątki roku 1863 i jest obecnie właścicielem zbioru, jedynego może w swoim rodzaju.

Blisko tysiąc fotografij żołnierzy polskich, przeszło półtora tysiąca twarzy wygląda z jego albumów, a są to ludzie i znani w historji krwawego roku i rzesze tych bezimiennych, których ciała, tak samo jak i nazwiska szczezły gdzieś w lasach bez pamięci i wspomnienia.

Kolekcja pana Pieniążka przemawia głośniej niż uczone traktaty... bo przeglądnąć tylko kartę za kartą, podumać... i wspomnieć, a stanie tak jasno cała epoka styczniowych bojów, idea co wiodła ten tłum różnobarwny, tak głośno przemówi, że... jęk mogił tysiąca nie zapomnianem echem się w sercu odezwie.

„Dam wam zwycięstwa chwilę i swobody... ojczyznę wrócę"... a za sam blask tej nadziei, a za jedną, jedyną chwilę szczęścia tłumy marły śmiercią męczeńską, potoki krwi spłynęły, szubienic drewna zakwitły...

Krzywe szable, stare szlify, mundury i armatura ze wszystkich stron świata... od konfederatek przez kepi francuskie aż do tureckich zawojów, od myśliwskich dubeltówek po bagnety starych systemów. A wśród tego wszystkiego twarze młode, dziecinne obok ludzi dojrzałych, długobrodych starców święte oblicza obok wąskiej, nędzą przeżartej piersi robotnika.

A u młodzieży w tył włosy rzucone, twarze niby ascetyczne, ogniem zapału owiane. — Bo czas i epoka wyraz daje ludziom, mniej lub więcej ospały, więcej lub mniej filisterski, w tych jednak postaciach inne jakieś ognie błyszczą, inne uczucia pierś rozsadzają.

Cały niedawno miniony okres z jego biciem serca i myślami wyczytać można w tej galerji typów: resztki romantyzmu, konspiracji podziemnych wraz z ponurą symboliką tajnych związków pomieszały się z religijnym miscytyzmem i całą aureolą męczeństwa.

Oni, ci wszyscy, jacyś inni ludzie niż dzisiaj: na starych obliczach echo ledwie co zamarłych walk przeszłości, w oczach młodzieży coś surowego widnieje, czego by chyba na obrazkach pierwszych chrześcijan szukać należało. — Cała poezja krwawego roku wieje z tych szeregów, co na wroga szły bez broni, cała dusza powstania w twarzach pięknych lub mniej pięknych, ale wyrazistych za to, jak rzadko.

Kobiety w krynolinach i w konfederatkach, w kontuszowego kroju stanikach, a wszędzie żałoba gruba, taka jak wtedy, gdy świątynie warszawskie brutalna dłoń żołdactwa splamiła.

Ówdzie chłopaczek mały, o twarzyczce owalnej, dziecinnej... z ogromną strzelbą na ramieniu. To nic nie szkodzi, że pozował on do fotografii, bo po za pozą, jest coś, co się nigdy maską aktorską wyrazić nieda, a co odczytać łatwo, znając nastrój ówczesny i tamtejszą epokę.

A oto jakiś urzędnik, widać wprost od biurka oderwany, w okularach, w krótkim kożuszku powstańczym z karabinem starym i skałkowymi pistoletami wybiera się... na moskiewskie armaty, u innego znowu uderza długa broda, nie otaczająca całej twarzy, a skutkiem tego i samo oblicze jakieś przedłużone na tle bluzy, czy rewolucyjnej koszuli Garibaldiego, przypomina konterfekty dawnych rewolucjonistów.

Charakterystyczną jest wreszcie grupa Żuawów Rochenbruna: szerokie krzyże na piersiach, trupie główki u pasa, a wśród nich sztandar ze szarfą „w imię Boże".

W tym zbiorze obrazków, z których kilka pomieszczamy w niniejszym numerze „Tygodnia", znaleść można wszystkich wybitniejszych działaczy, czasem sławnych, częściej jeszcze ostrą krytyką i goryczą przepojonych. Pan Pieniążek zgromadził ich wszystkich od magrabiego Wielopolskiego do rabina Majzelsa, od Langiewicza do zwykłych szeregowców. — Niektóry z nich żyją jeszcze, ale jakże zmienieni, jak różni od konterfektów swoich powstańczych, swoich myśli, a uczucia młodzieńczego.

Pan Pieniążek w zbiorach swoich zachował spory kawał historji krwawego roku i przekazał go myśli przyszłości. Bardzo to dobrze — bo już i dzisiejsze pokolenie nie całkiem tamte czasy rozumie, a cóż dopiero nasi następcy? *Fr. Jaw.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8